



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

W wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych
cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60;
kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr 5.

W Cesarstwie Austriackiem w Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta
kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na pro-
wincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. i
sgr. 20.

Jan Zacharjasiewicz.

W pierwszych latach szóstego dzie-
siątka naszego stulecia przedstawiało
życie literackie galicyjskiej stolicy o-
braż dziwnego zastoju i odrętwienia.
Straszna katastrofa 1846 r., była gro-
mem z jasnego nieba, który tych, co
nie zabił, ogłuszył, a nadzieję lepszej
przyszłości zwarzył chwilowo nawet
w najgorętszych. Rok 1848 obudził ją
nanowo. Społeczeństwo śniło uroczco,
lecz krótko; śniło po to, aby się obu-
dzić wśród huków bombardujących
Lwów. Nastąpiła reakcja tem cięż-
sza, tem bardziej przygniatająca, im
większe było poprzednie upojenie.
Atmosfera stała się ciężką i duszną,
a straszne zawody sprowadziły ową
martwość umysłową, o której wspo-
mnieliśmy na wstępie. Stan jednak ta-
ki nie mógł trwać długo. Powoli du-
chowe życie narodu, stłumione gwał-
townie, zaczęło się domagać swych
praw. Ruch literacki począł się bu-
dzić, zrazu nieśmiało, potem coraz ży-
wiej. Przedewszystkiem objawił się
ten ruch w publicystyce belletrystycz-
nej. Powstają: „Nowiny“, „Dziennik
literacki“, nieco już później „Kółko ro-
dzinne“,—rozbudzając ufność i siłę.

Pośród wskrzesicieli tego życia spo-
tykamy, obok Dobrzańskiego i innych,
nazwisko Jana Zacharjasiewicza. Nie
jest to jednak pierwszy jego występ na



Jan Zacharjasiewicz.

literackiej łniwie, bo już poprzednio
czasopismo Biblioteki Ossolińskich za-
mieszczało jego rozprawę „O architek-
turze egipskiej“, owoc studyów młodo-
cianego autora nad estetyką i historią
sztuki. Ale nie tu był właściwy zagon
jego literackiej pracy: to też wkrótce
przerzucił się do powieściopisarstwa,
na którem-to polu odtąd prawie wyłą-
cznie miał zbierać plony.

Pierwsze próby powieściowe Zacha-
rjasiewicza zaczęły zamieszczać wyda-
wane od 1854 r. „Nowiny“, których
był głównym redaktorem; kiedy zaś od
2 Maja 1855 r. kolega jego z przemy-
skiego gimnazjum, Jan Dobrzański,
począł wydawać zasłużony „Dziennik
literacki“, Zacharjasiewicz wszedł do
redakcyi i odtąd nierzadko spotykamy
się w tem piśmie z utworami jego pióra.

Wszystkie one, w tym pierwszym
peryodzie literackiej twórczości Za-
charjasiewicza, należą do zakresu po-
wieści obyczajowej. Zaznaczamy:
„Uczonego“ (1855 r.), „Boże dziecię“
(w Dzienniku literackim z 1857 roku),
osnute na tle reminiscencji z gimna-
zyalnych czasów i „Złotą górę“, stano-
wiącą niejako programat tygodnika
literackiego „Kółko rodzinne“—który
zaczął wychodzić w Marcu 1860 r., pod
redakcją Zacharjasiewicza—a zarazem
illustracją znanej zasady, że na rodzi-
nie opiera się społeczeństwo. i że upa-
dek pierwszej wywołuje, jako prostą
i nieuniknioną konsekwencją, upadek
drugiego. W pierwszych tych płodach
twórczej działalności Zacharjasiewicza
widnieją, choć złożone dopiero w za-
rodku, prawie wszystkie zalety jego
pióra, które mu miały wyrobić za-

szezytne stanowisko w naszej literaturze powieściowej. Są to: znakomity dar obserwacji, analiza psychiczna i prawda, zarówno w inwencji, jak w wykonaniu. Postacie Zacharjasiewicza, — to nie ideały, nietykające ziemi stopami, a ściągnięte na nią przez autora, to nie wyjątkowe jakieś istoty, ale ludzie z krwi i ciała, o jakich się ocieramy w życiu codziennym, myślący i czujący poludźku, tylko opromienieni dążnością idealną i posiadający typowość, która stanowi ich racją bytu w powieści. Czy to realizm? Bez wątpienia, i to przedewszystkiem psychologiczny, a więc wyrażający się pokupiecku: w najlepszym gatunku, jednakże wobec wybitnie idealnego kierunku wszystkich prac Zacharjasiewicza, trzeba go chyba nazwać realizmem idealistycznym.

Wspomnieliśmy wyżej o pierwszym okresie twórczości literackiej Zacharjasiewicza: rozciąga on się po rok 1860, rok wydania powieści „Na kresach”. Utworem tym stanął on na polu powieści polityczno-tendencyjnej, czyli raczej stworzył ten rodzaj, okazując się w nim odrazu doskonałym.

Jest to wyborny obraz stosunków polskich pod berłem pruskim i processu wywłaszczenia posiadaczy polskich. Postaci tej powieści to same, żywcem uchwycone, typy, czy tu mamy na myśli ową kosmopolityczną arystokratkę dla której „la passion est la vie”, czy jej męża, margrabiego, wydającego zamek wystawiony „ad populum tuendum” w ręce germańskie, czy majora, czy wreszcie którą inną z działających osób. A tyle w tem wszystkim życiowej prawdy, tyle zbawiennej nauki dla wszystkich klas społecznych Księstwa Poznańskiego, żeby się chciało książkę tę, jednoczącą cechy i zalety broszury politycznej i dzieła sztuki, wetknąć w rękę każdemu Wielkopolaninowi, wołając: „Czytajcie i uczcie się! — *Discite exemplo moniti!*” Zaprawdę, jeżeli powieści Zacharjasiewicza nie wywarły takiego wpływu na społeczeństwo polskie, jak naprzykład Dickens na angielskie, to wina w tem samego społeczeństwa, czy fatalnych stosunków, ale z pewnością nie autora.

Jedną z wybitnych a oryginalnych właściwości pióra Zacharjasiewicza jest dziwny jakiś i nieokreślony urok czy czar, którego naturę określić dosyć trudno. Polega on na głębokiem zrozumieniu duszy ludzkiej, a szczególnie na skrytalizowaniu w słowie idealnych jej porywów, które, mówiąc nawiasem, są i będą zawsze ważnem znamieniem jej nieśmiertelności, oraz na poetycznym pojęciu natury. Co do pierwszego, to, jakżeśmy już wspomnieli, Zacharjasiewicz jest pisarzem *par excellence* psychologicznym, w znajomości serca ludzkiego, a szczególnie kobiecego. W pięknej swej rozprawie „O kobietach Kraszewskiego” skarży się Zacharjasiewicz na ubóstwo naszego społeczeństwa pod względem różnorodności typów kobiecych, i trudno się z nim na to nie zgodzić; ale też tem większą jest jego zasługa, że istniejące wyzyskał znakomicie, a kilka sam po raz pierwszy wprowadził do powieści.

Co do natury zaś, to ta w powieściach Zacharjasiewicza nie jest czynnikiem martwym, lecz, przeciwnie, żyje i współczuje z osobami powieści, bywa ich złym lub dobrym doradcą, — co wszystko jest, z małą przymieszką poezji, psychologicznie prawdziwe, gdyż faktem jest, że na otoczenie nasze patrzymy przez pryzmat naszych uczuć i widzimy je w ich barwach.

Na wyszczególnienie i wywyższenie zasługuje dialog Jana Zacharjasiewicza: ożywiony, dowcipny, cieniowany delikatnie, subtelny. Nie można jednak pominąć milczeniem, że autor doszedł pod tym względem do możliwej granicy, i że postąpiwszy o jeden krok dalej, wpadłby w manierę i przesadę. Język Zacharjasiewicza, późniejszy wyborny, grzeszy w pierwszych jego powieściach niegramatycznością i rażąciami prowincjonalizmem.

Zacharjasiewicz jest pisarzem płodnym: to też gdybyśmy chcieli wyliczyć wszystkie jego powieści, urosłaby z tego spora litania. Wymieniamy tylko niektóre, jak: „Święty Jur” (1862), „W przededniu” (1863), „Marcyan Kordysz” (1865), „Marek Poraj” (1867), „Czerwona czapka” (1869), „Zakryte karty” (1875), „Wybór posła” (1877,

„Królewskie krzesło” (1878), „Kometa” (1881). Za tło dla przeważnej części tych powieści służą stosunki galicyjskie, zwłaszcza od nastania ery konstytucyjnej. Próbował też z powodzeniem sił swoich w komedii „Kupno i sprzedaż” (1875 r.), a w ostatnich latach uprawia nowellę, w której również się odznaczył.

Na tem wypadnie nam zakończyć ten pobieżny szkic literackiej działalności wielce sympatycznego pisarza, któremu przyznajemy w literaturze naszej wybitne stanowisko. Dla uzupełnienia dodajemy kilka szczegółów biograficznych, których miejsce byłoby może właściwsiem na początku. Zacharjasiewicz urodził się w r. 1825 w miasteczku Radymnie, we Wschodniej Galicyi. Do gimnazjum uczęszczał w Przemyślu, kollegując z Dobrzańskim i Kaczkowskim. W r. 1847 przybył do Lwowa i pracował w redakcyi kilku pism; po dwakroć jednak zamienił biuro redakcyjne na więzienie w Spilbergu. Do roku 1863 mieszkał stale we Lwowie, potem zwiedził Kraków, Dreźnie i Paryż, osiadł na jakiś czas w Warszawie, a wreszcie powrócił do Galicyi, gdzie też obecnie zamieszkuje.

Tadeusz Ujejski.

KTÓŚ

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Wzbudziło to w nim filozoficzne myśli nad tem: jak ludzie żyć mogą w warunkach podobnego odżywiania, i jaki wpływ ono wywierać musi na ich organizm!

Uwagi te jednak Paczuskiego nie doprowadziły do niczego.

Smutny był i przybity niewymownie. Gdyby przynajmniej, przewidując to ogłodzenie, torbę podróżną zaopatrzył był w żywność, z jaką się wędrowcy zapuszczają w głębiny Afryki? Przechodziły mu na myśl konserwy, pasztety, czekolada, włoskie wędliny i t. p. — a miał przed sobą zastygłe, obrzydliwe produkty garwolińskiej żydowskiej garkuchni. Potrzeba było co żywiej wziąć się do dzieła, aby nie umrzeć z głodu, lub nie narazić się na jaką chorobę, której pieszczony jednak obawiał się bardzo.

Tegoż wieczora więc blizka znajomość z p. Pinkusem Łowickim, gospodarzem domu, zawiązaną została. P. Emil Paczuski, nie zdradzając swojego *incognito*, przyznał mu się, iż poszukiwał w okolicy Garwolina do nabycia kawałka ziemi, kolonii, folwarczku, czegoś skromnego, niewielkiego.

Z pewnem niedowierzaniem zwierzenie się to przyjął szanowny gospodarz, człowiek bystry, ludzi znający, podejrzliwy.

Paczuski wydał mu się z mowy, ruchów i z samego celu domniemanego poroży, człowiekiem dwuznacznym, zagadką.

Nabywanie w ten sposób ziemi u nas nie jest pospolitą. W okolicy nie nęciło i nie obiecywało szczególnie pociągających warunków, kolonii naówczas tak jak nie było. Pinkus oświadczył wręcz gościowi, że to rzecz była trudna i niezwykła i począł badać: dlaczego sobie wybrał Garwolin właśnie.

Paczuski odparł, iż mu go wskazano, — okolicy nie znał.

Zaczęła się w ten sposób przydłuższa rozmowa, w ciągu której Emil dał do zrozumienia p. Pinkusowi, iż usługi jego zawdzięczyć był gotów. Ale — rozumiało to się samo z siebie, i żyd nie bardzo się tem przejął, ani poruszył.

— Tu, proszę pana — rzekł — kolonii tak jak niema, stare wioski i folwarki tak są, jak przed wieki były — i nikt ich dzielić nie myśli. Jest

tu jedna cząstka, przed laty kilku odprzedana jakiejś jejmości, która zdaleka przybyła. Zowią ją teraz Rusinowym Dworem.

I wskazał ręką w stronę owego dworu.

— No, widzisz, panie Pinkus — odparł żywo Emil, że jednak nie jest takie nabycie bezprzykładnem.

Gospodarz zmilczał.

— Któż tam mieszka w tym Rusinowym Dworze? — zapytał. — Co tam za gospodarstwo? Przecież lat kilka się trzymają i muszą nieźle wychodzić na tym kawałku ziemi...

Pinkus z wyrazem pogardliwym podniósł oczy na mówiącego i ramionami poruszył.

— To jest wcale co innego — odparł — Ta baba, co nabyła ziemię tu... to jest jakaś chłopka z bogaczną, prosta kobieta... Pan sam około roli pewnie-by pracować nie mógł i nie umiał. Ona ma takich Rusinów parobków, jak sama... to inne ludzie...

I potrząsał głową...

— Proszę cię, panie Pinkus — dodał Paczuski, zbliżając się do niego i starając go ująć grzecznością. — To dla mnie rzecz ciekawa... Cóż to za kobieta? jakie tam gospodarstwo?

Gospodarz, widząc, że się na dłuższą zabierało rozmowę, a niemając wielkiego wyobrażenia o człowieku, który mały kawałek ziemi nabyć sobie życzył — naprzód wziął krzesło i zajął miejsce poufałe obok Paczuskiego.

Zażywał mocno tabakę, którą go poczęstował, a Emil, bądzcobądz, nie chcąc go zrażać, wziął w palce szczyptę zielonego proszku, który obiecywał sobie zręcznie wysypać na ziemię.

— Wiele to lat temu będzie — począł Pinkus — jak się oni tu osiedlili, nie dobrze pamiętam. Musi chyba być do dziesiątka.

Pomyślał trochę.

— No, tak — będzie do dziesiątka — ciągnął dalej. — Jak oni to nabyli od panów Goglewskich, nie wiem, ale zdaje się, dobrze zapłacić musieli i mieli dosyć pieniędzy, bo trzeba było się budować, od pierwszego kołka poczynając, a to wszystko kosztuje. Dwóch parobków przyprowadziła z sobą ta kobieta.

— Cóż to za kobieta? — spytał Emil.

— A kto ją może wiedzieć? — uśmiechnął się żyd — prosta chłopka, zdaje się, tyle tylko, że musiała być niegdyś piękną. Ale zupełnie nieokrzyszana wieśniaczka — ani czytać, ani pisać. W dodatku dumna, zła, niecierpliwa i nieprzystępna.

— Zkąd-że się tu wzięła?

— I o tem trudno się dowiedzieć, ale, z mowy miarkując — dodał Pinkus — albo z Podola albo z Ukrainy być musi, bo i ubiera się jak tamtejsze chłopki, w bekiesze jakieś, buty i chusty.

Splunął pogardliwie.

— Dwóch parobków, jeden starszy, drugi młodszy, baba do kuchni, — tyle całej ludności w Rusinowym Dworze. Czasem sobie przyjmuje robotnika.

Pomyślał nieco żyd. — No — dorzucił, — czasem też do tej jejmości dojeżdża jakiś krewny, czy powinowaty, czy kto go wie, co on za jeden, który jej w gospodarstwie dopomaga.

— A któż to taki? — podchwycił Paczuski, który uczuł, że trafil na trop pożądaný.

— Ja jego nie widziałem — odezwał się żyd — ale ludzie powiadają, że także musi być prosty chłop, bo z parobkami razem pracuje, drzewa rąbie, w pole chodzi, i, choć im rozkazuje, ale się za lepszego od nich nie ma...

Ot — i całe ich gospodarstwo na kolonii tej — rzekł Pinkus w końcu. — Jest z czego żyć, na tych kilku włókach, ale wielkich rzeczy się tam nie dorobi. Mówią, że u nich chłopski dostatek jest, że im na niczem nie zbywa... ale czy im wiele potrzeba?

— Daleko to od miasteczka? — spytał zaciekawiony Paczuski.

— Piechotą — rzekł Pinkus — będzie do dwóch godzin... albo-by pan był ciekawym zobaczyć?

— Bądzcobądz, chcę się rozpatrzyć w okolicy — odparł Emil...

— Ja panu dam do tego człowieka, jedyne, co najlepiej wszystko pokaże i objaśni — szepnął Pinkus — ale szczerze powiedziawszy, jak ja pana widzę, choć honoru jego nie znam (*sic*), mnie się

nie zdaje, żeby pan na takiej kolonii miał gospodarować..

— Różnie się po świecie dzieje—pocichu, spuszczać oczy, odparł Paczusi—czasem człowiek musi chwycić się sposobu życia, nawet takiego, który mu najmniej smakuje.

Przeciwko temu gospodarz nie miał nic do zarzucenia: prawda była zaczerpniętą z ogólnej skarbnicy mądrości narodów.

Przyobiecany przewodnik, który miał Paczusiemu dopomóc do poznania się z okolicą, stał się jeszcze tegosamego wieczora do niego.

Typy podobne wśród ludu nie są u nas rzadkie, chociaż barwy rozmaite przybierają.

Jacusz Suszka rodem był z samego Garwolina i pochodził ze starych mieszczan tutejszych, posiadaczy kawałka ziemi, na której od wieków gospodarowali jako rolnicy, a obok tego rozmaitemi się zajmowali rzemiosłami. Mieszczanin u nas prawie wszędzie był tą istotą pośrednią pomiędzy wieśniakiem a właściwym mieszczuchem, który już ani się znał ani mieszał do roli.

Gdy inni Suszkowie, pozostawszy wiernymi tradycjom rodowym, uprawiali teraz kawał pola, o obok tego bawili się ciesielką. Jacusz, zawczasu poczuwszy w sobie bardziej przedsiębiorczego ducha, rolę porzucił i, na głowę i ręce własne się spuściwszy, postanowił innemi drogami iść do szczęścia.

Ale najpierw spójrzmy na Jacusia, jakim się się przedstawił p. Emilowi, po latach długich walki z losem, dobiwszy do portu, z którego trudno przypuścić było, aby znowu na morze rozbijałych fluktów mógł wypłynąć.

Jacusz, jak jego zdrobniałe imię wypowiadało, był człowieczkiem lat może sześćdziesięciu, małego wzrostu, z twarzyczką brunatną, spaloną, pomarszczoną, jak jabłko zimowe, w której mały nossek zadarty, szerokie bardzo usta i dwoje ocząt głęboko utkwionych, składały fizioznomią niby uśmiechniętą, trochę trupią główkę przypominającą. Włos mu już mocno szpakowaciał. Czoło w fałdy grube się marszczyło, zębów w ustach, gdy je otworzył, niewiele widać było i to rozsiąanych dziwnie, u dołu i u góry, jak słupy wyłamanego płotu.

Prawdziwa, czy sztucznie wymożona na sobie wesołość, ożywiała to lice, nie piękne, ale nie głupie.

Strój był bardzo skromny: kapota wyszarzana, jaką mieszczanie nosić zwykli, buty stare i wykoszlawione, a nakrycie głowy stanowił słomiany prosty kapelusz, czerwoną wstążką przepasany. W rękę miał kijek, który w kącie postawił, skłoniwszy się i pozdrowiwszy Paczuskiego po chrześcijańsku.

Historia Jacusia była dosyć ciekawą, lecz podobnych wiele się błaka po naszym świecie. Był Jacusz cieślą, stolarzem, nauczył się czytać i pisać, próbował służyć jako oficjalista, mówiono, że jakiś czas pełnił obowiązki zakrystyana. Grał na skrzypcach, umiał z biedy pomalować bryczkę—powoził w potrzebie i furmanik—ale to wszystko mu się nie wiodło. Oprócz tego—polyhistor swojego rodzaju, mało było rzeczy na których-by według własnego przekonania się nie znał, którym-by nie podolał. Rwał się do wszystkiego.

— Ja to, panie, w lot zwędruję! — zwykł był mówić.

I wędrował tak, że zawsze w początku mu się niby wiodło, a w końcu musiał rzucić każde zajęcie, bo godnem siebie go nie uznawał.

Jacusz należał do ogromnej u nas liczby ludzi—do wszystkiego i do niczego, zdolnych i niezdolnych. Tam, gdzie podział pracy, jak w rozsypanych po kraju naszym rzadko osadach, nigdy się nie dokonał, nadzwyczaj wielu musiało, zamiast jednemu się poświęcić powołaniu, być gotowymi wszystko poczynać, czego wymagały okoliczności. Nasz wieśniak prawie każdy potrosze jest takim Jacusiem. W potrzebie lata chomąta, naprawia buty, stawia piec, wyciosze stół. Robota może być niewiele warta, ale i taka czasem jest niezbędną. Tam, gdzie się to dzieje, rzemiosła, naturalnie, do wielkiej doskonałości dojść nie mogą; ale że na

wielostronnem takim kształceniu się zyskuje inteligencya jednostki — to nie podpada wątpliwości.

Dlatego nasz chłopiec i mieszczanin wogóle roztropniejszy jest, poradniejszy od mieszczanina niemieckiego, doskonałego w swoim fachu, ale poza nim nieznającego nic i niemogącego sobie dać rady, gdy go los wyrzuci, jak kółko z maszyny.

W ciągu nadzwyczaj ruchomego i urozmaiconego żywota Jacusz dotykał ludzi, stanów, powołań różnych, chwycił wszędzie potrosze czegoś—do niczego nie doszedł—ale humoru, odwagi i wiary w siebie nie stracił. Dowodził zawsze, że—z pozwoleniem—tylko durniom i niepocziwym wiodło się na świecie. Siebie nie miał ani za pierwsze, ni za drugie..

Do charakterystyki Jacusia należało, iż niepomrotnie obfitą i łatwą miał swadę. Mówił daleko lepiej niż robił, lubił gadać, był niewyczerpanym, i pocieszał się w biedzie wymową. Tę i ludzie cenili, a Jacusz w gospodzie, przy kieliszku, którym nie gardził, chociaż nigdy się nie upijał—był nadzwyczaj miłym i wszędzie pożądanym gościem. Bywalec — nietylko prawie cały kraj przebiegł niegdys i dobrze właściwości miejsc pamiętał, ale parę razy wyrwał się za granicę, gdzie mu się wcale nie podobało.

— Niema panie, jak u nas—zwykł był mawiać— a te tam wielkie rzeczy, o których powiadają za granicą — to wszystko blichtr... Jak Boga kocham!..

Przedstawiony przez Pinkusa, który natychmiast wyszedł zostawiając go samnasam z Paczuskim, Jacusz począł najpierw od nadzwyczaj pilnego badania p. Emila. Nie uszło nic jego oka, od stroju do tłumoczek, a jaki wniosek wyciągnął z niego?—trudno było odgadnąć.

Ręce z kapeluszem założywszy na plecy, Jacusz stał, oczekując interpellacyi.

— Pan Pinkus mnie tu zarekomendował— rzekł w końcu, widząc, że Emilowi trudno się na nią było zebrać—na usługi pańskie... Jestem tu teczny.

— Zechcesz mnie więc może poinformować— rzekł Paczusi, klamając jak przed gospodarzem.— Mam zamiar tu kawałek ziemi kupić—he!

Jacusz się potarł po głowie.

— Tche — odparł — nigdy nie można przewidywać, co komu się poszczęści albo nie uda. Tak i to... ale tu ziemia...

Nie dokończył.

— Jednakże Pinkus mi powiadał, że kolonie się małe trafiają—dorzucił Paczusi—ot, jak Rusinowy Dwór. No — i ludzie się na nich trzymają...

Jacusz pomyślał.

— Proszę jegomości—rzekł dowcipnie—ja raz w życiu widziałem siedzącego na wierzbie zająca. No—i siedział... Psy go napędziły, wierzba była pochyła... no—i salwował się na nią.

Rusinowy Dwór — to trzeba znać — dodał i splunął.

— Napil-bys się waćpan czego?—spytał Emil.

— Jeżeli łaska pańska, kieliszek jeden, nie jestem od tego...

Paczusi otworzył drzwi i zawołał o wódkę. Podano ją, a Jacusz, wychyliwszy — za zdrowie jegomości, chrząknął i odezwał się:

— Rusinowy Dwór trzeba znać — ale tego, co oni tam, nikt nie dokaże... Kto ich wie, co to za ludzie?... chłopiska... Sama dziedziczka, pożał się Boże, prosta, gburowata, chamska córka... choć jej na niczem nie zbywa — ale dlatego przedzie i pierze, i z ogrodu ziele gotowa nosić. Więc co to dziwnego, że im tam na tym ziemi kawałku, jakotako się powodzi? Nie każdy zechce pójsć za pługiem...

Ruszył ramionami.

— Widziałeś asan kiedy tę kobietę? — spytał Emil.

— Zdaleka, alem z nią nigdy nie gadał, bo ona do rozmowy nie skora—rzekł Jacusz—mruczy pod nosem, i to porusińsku tylko, pochłopsku, na nikogo ani spojrzę, o ludzi nie dba.

— Stara jest?

— A! nie młoda, pewno lat ma pod sześćdziesiąt, chociaż zdrowo wygląda i piękna być mu-

siała—mówił Jacusz — Tylko z nią żyć nie zdrowo pewnie, bo ino lajać i sprzeczać się lubi i gryzie siebie i drugich... Tak powiadają. Ona i jej luźnie do nikogo nie przystają,—z nikim nie żyją. Wezmą najemnika czasem: to mu dobrego słowa nie dadzą. Dzielę wszyscy.

— Pinkus mi powiadał—dorzucił Emil—że tam jeszcze kogoś do pomocy ma baba... który do niej czasem przybywa i przesiaduje. — Któż to taki?

— Musi taki, jak oni tam wszyscy— rzekł Jacusz—choć z twarzy niby lepiej od nich wygląda. Niewiadomo, zkąd on przyjeżdża, a gdy tu siedzi, to gospodaruje i pracuje z nimi. A babę szanuje, jakby panią jego była.

— Widziałeś go?—dodał Emil.

— Też zdaleka tylko — rzekł Jacusz, bo i ten dziki jest—nie rad z ludźmi żyć. Oni tu wszyscy jakby na wyspie siedzą i znać nie chcą nikogo.

— Osobliwi ludzie!

— Pewnie—odparł Jacusz.

— Radbym tę kolonią zobaczyć — odezwał się po chwili Paczusi.

— To czemuż nie?—żywo dokończył stary—pojedziemy jutro i zbliżymy się do niej. Tylko zachodzić tam niema sposobu: naprzód, że psiska takie trzymają, iż się im człowiek nie opędzi: potem, że nikogo pocziwie nie przyjmą, choćby kto tylko napić się chciał u studni. Ale budynki i gospodarstwo może pan obejrzeć.

Na tem rozmowa się o kolonii skończyła, a Jacusz począł prawić o sobie, okolicy, sąsiadach, ziemi do sprzedania i długo mu się gęba zamknąć nie mogła. Wkońcu, gdy już późno było, umówiono się o ranną bardzo nazajutrz godzinę, dla pieszej ku Rusinowemu Dworowi wycieczki.

Jacusz odszedł, wcale Paczuskiego nie zrozumiawszy, a Emil, zmęczony i znudzony, niemal zasnęły, że się wdał w tę sprawę, położył się spać głodny, znajdując, że nawet na polowaniach po wsiach, nigdy nie próbował tak niegodziwego siennika.

Ranek, choć nieco mglisty i oparny, obiecywał dzień pogodny. Paczusi, niemogąc przełknąć przyniesionej mu kawy, musiał kawałkiem chleba i wódką śniadanie zakończyć.

Jacusz, w doskonałym humorze, z torebki, którą miał na sobie, dobywając rozmaite przysmaki, do których przyprawy wchodził czosnek i sól, kroczył tuż za panem, rozpowiadając mu historię wszystkich domów Garwolina, jakie mijali.

Niewiele to obchodziło Emila, który słuchał roztargniony, bo myśl jego zaprzątnięta była, nietylko Horpińskim i tajemniczą kolonią, ale niegodziwą wieczszą wczorajszą, gorszem jeszcze śniadaniem dzisiejszem i perspektywą głodu, utrapień, przechadzek pieszych, do których ani nogi jego, ani obuwie nawet przyzwyczajonem nie było. Tymczasem zabierało się na to, że do Rusinowego Dworu parę godzin gorącego dnia, po piasku, w pyłe kroczyć mieli, a jako jedyna osłoda przechadzki nieustająca paplanina Jacusia się obiecywała.

(Dalszy ciąg nastąpi).

KRÓL AGIS

DRAMAT HISTORYCZNY W 3-CH AKTACH

JULIUSZA SŁOWACKIEGO

Ze zbiorów rękopiśmiennych Biblioteki Ossolińskich

podał

Henryk Biegeleisen.

* A K T II.

((Dalszy ciąg)).

* SCENA V.

* Archidamia

Demadesie — Panie Demochary!

***Demades i *Demochares**

Słuchamy cię, szanowna matrono, matko Sparty 1).

***Archidamia**

Matka ja nieszczęśliwa, bo mi dziecko odłączono, nim zębów dostało. Sakwy na plecy! sakwy na plecy! i śpieszcie do Agisa: niech nie powraca bez Olimpu na plecach.

***Demochares**

Co ona gada?

***Demades**

Bredzi jak ślepa.

Archidamia

Olimp na plecach z błyskawicami niech przyniesie, niechaj rzuci go z góry na dom Eforów: inaczej—Sparta padła.... Sparta padła....

***Democharus**

Co ta stara krzyczy?

Archidamia

Mówcie, żem ja siedziała przy ognisku,
Żem krzyczała z popiołów, aż Bogi się ruszą.
Powiedzcie, że mnie w nocy duchy duszą;
Że.... ze spiżarni szczury uciekły gromadą....
Trupem się począł dom mój;
Wbiegły tu Medużnice,
I przy ognisku siadły z twarzą bladą. 2)

***Demochares**

Cóż to za szal? 3)

1) Następuje przekreślony ustęp:

***Archidamia**

Wy, przyjaciele Agisa idźcie i szukajcie go. Niechaj z gołemi rękami nie powraca, niech zwycięstwo włoży sobie [na] barki jak barana, [i niech jak] z beczącym skopem wchodzi do miasta.... Cóż leniwcę? czy nóg żałujecie dla Agisa?

***Demochares**

(do Demadesa) Co mówisz?

***Demades**

Wypada nam oddać tę usługę.

***Demnchares**

Przybierzemy sobie Arcezyłaja, który umie śpiewać Żaby Homera.

***Demades**

Stara da pieniędzy na drogę.

***Demochares**

A nuż! Sprobuj!

2) „I w oczy mi spojrzały twarzą“.
3) Po tym wierszu następuje przekreślony ustęp:

***Archidamia**

Szał bo cię ręką ducha jak wiatr schwyce
I przymuszę do wrzasku: Sparta! Sparta!
Pić wam nie dam w obłoku jako błyskawica,
Przez was będę zbawiona i przez was rozdarta....
Sparta! Sparta!

***Demades**

Z krzykiem wypadła na ulicę.

***Demochares**

Cóż myślisz?

***Demades**

Myślę, że starej duch dobrze przewiduje, Agisowi potrzeba zwycięstwa, potrzeba ze zwycięstwem wrócić, jak z baranem na plecach, aby baran sam beczął, a usta Agisa milczały.

***Demochares**

W samej rzeczy Spartanie zaczynają tęsknić za Królem Leoidasem.

***Archidamia**

Twarze ich były blade, jako błyskawice,
Oczy były zielone, jako grosz spleśniały.
Łzy purpurowe 1) ciekły..... ubiór — jak trąd
[biały.
Jako łuska na karpiu—skrył się pod skroba-
[niem.

***Demades**

Horrendum jakieś!

***Archidamia**

I świstem, jak dwa węże, w ognisku ucichły,
Sz sz sz....
Przyprowadzi (?) chmury i wiatry z błyskaniem.

***Demades**

Mnie samemu zawraca się głowa—o! Sparto!
Nam, przyjaciółom 2) Agisa.... otwartą
Znaliśmy twoją rękę, jeżeliby kiedy
Los się odwrócił, a nas 3), przez dziwną fortunę.
Z Agisa domowników przerobił na stróży
I obrońców, ufaj nam, poważna matrono,
Że ja i Demochares i Arcezylausz,
W nieszczęsnej się godzinie znajdziemy przy
[boku
Wnuka twego i wierni dotrwamy królowi.

***Archidamia**

Bóg słyszy! Bóg was słyszy!

***Demochares**

Miej dobrą otuchę.

Agis wróci, zwycięstwo nad Etolezykami
Włożywszy tak na plecy, jakoby barana,
Którego tu beczenie usłyszą Spartanie.
Nim się Agis pokaże, i z lasów oliwnych
Od tarcz miedzianych słońce odbite przeleci.
Dobrej, dobrej otuchy bądź, stara matrono,
I piecz chaby i stoły publiczne nakrywaj.
My pomożemy tobie w domowej usłudze.
Czy ze dzbanami każesz do źródła po wodę,
Czy do żaren nas zaprzesz obracać kamienie.
I rzek 4) nimfy wyręczać naszymi rękami.

***Archidamia**

Ja wam sakwy napełnię i poszlę górami
W ślad za moim Agisem, a wy mu powiecie,
Aby się nie dał w życiu nikomu na świecie
Zwyciężyć, bo mi jego geniusz się złoty
Pokazał, cały w gwiazdy ubrany i w grzmoty.
I prosił, mówiąc:—O, prosz za mną twego wnuka.
Niechaj mnie ani wobec tęczowego łuką,
Ani wobec Minerwy upadać nie każe;
Choćby się wszystkie duchów innych greckich
[twarze,
Które w Achajskiej Lidze są, pokazywały:
Niechaj mną, niewidzialnym Bogiem, stoi
[śmiały
I weźmie krok naczelną nad Achaje zdradną;
Bo jeśli z jego winy tylko raz upadnę
I zawstydzę się—będę przeciw niemu bił się!....

***Demochares**

Co, czy ci taki geniusz syna twego śnił się?

***Archidamia**

Objuczeni straszniemi rzeczami, śpieszcie się,
Wyprawię was, jak matka, nakarmiwszy brz-
[chy....
Chodźcie!

***Demochares**

Co mówisz na to?

1) „Łzy im czerwone“.
3) „Wybiegła na ulicę“.
4) „a my“.
4) „Jak“.

***Demades**

W kieszeniach mam słuchy 1)
I rezolucją.... rozum kieszeniami żywię;
Jestem strzałą, na złotej potrzeby cięciwie:
Zrobię, co ona każe, skoro mi zapłaci.

***Chorus**

W każdym domu są ludzie podobni z postaci
Do karytyd białych, schylonych pod gmachem:
Dopóki dom słonecznych promieni nie straci,
Dopóki młodych dziewczę oddycha zapachem,
Dopóki srebrnym brzękiem czar na ustach dzwo-
[ni—2)
Są jak osy około kwitnącej jabłoni.

Ale skoro się Panu twojemu i Bogu
Podoba dom zaciemnić, śmierć gdy przezeń 3)
[wionie,
Albo piorun zawierci 4) łono twego stogu,
Na zgłiszczach cię posadzi, jak na czarnym
[tronie;
Bądźże wtedy samotnym panem takiej cnoty,
Bys na przyjaciół zdradę—chowal uśmiech złoty.

A. pewny bądź.... Co widzę?

Agis odprawiony
Przez Achajczyki, którzy mu zazdroszczą sławy!
Sam się Aratus shałbił i słodkimi tony
Pokrył zazdrość i pełne 5) podłości obawy.... 6)
O, jak trudno, jak trudno z ludźmi nieboskimi,
Którzy są upojeni na śmierć—czarem ziemi!

(Dalszy ciąg nastąpi)

Geraldina Calverley

SZKIC Z DZIEJÓW WOJNY O NIEPODLEGŁOŚĆ AMERYKI.

(Dalszy ciąg).

Urodzenie dziecięcia wprowadzało w życie Geraldiny żywioł nowy, ale z całego toku jej histo-

1) „mam uszy“.
2) „uczta odzwania“.
3) „śmierć go wymiecie“.
4) „piorun zapali“.
5) „i wewnętrzne“.
6) Następuje przekreślony wiersz:

***Chorus**

Czegóżes pierwszy?—laurem uwieczony
Przez Achajczyki do ojczyzny wracasz?....

***Agis**

Próżno pochwałą gorącą pozłacasz
Zimną odprawę.

***Chorus**

Wzwałeś Lakony....

Myśły rzucili domy i rodziny,
Miasto natchnione pierwszą młodocianą
Siłą wolności, i bieglśmy w góry,
Na których ty nam ukazałeś zdala....

Odmiana:

***Agis**

Próżno oddajesz mi wielkie pochwały,
A nie otwierasz mi zasługi pola.
Jeżeli sądzisz, że, jak inni ludzie,
Usty odmawiam, czego serce pragnie,
Sławy się tylko na pozór wyrzekam,
Udaję chłopstwo, szczerość i prostotę,
A obraz własny swój w przyszłości widzę,
Błyszczący złotem w hełmie macedońskim
Gorgoną strachu dla całego świata,
Idący aż do świątyni Ammona
Po piorun Boży—jeśli mnie tak sądzisz,
I myślisz, że ambicya (chęć sławy) pod kożuchem,
Jak ukradziony lis przez Spartanina,
Drze mi wnętrzności, a ja, dobry tragic,
(Wnętrzności mi drze, a ja nic nie mówię)
Udaję, że od nimfy łaskotany,
Bliższy uśmiechu jestem, niż boleści:
Jeżeli sądzisz tak, to sobie przypisz,
Ambicyą, dumę, skrytość, oszukaństwo...

ryi widać, że macierzyństwo nie zmieniło nic w jej uczuciach małżonki. Karmiła córkę sama i niewątpliwie musiała ją kochać tak, jak każda uczuciowa, niesamolubna kobieta kocha dzieci swoje, ale ta istotka malenka, która jeszcze nie potrzebowała od niej nic, prócz zaspokojenia głodu i miękkiego otulenia w pieluszki, nie mogła zabsorbować jej siły kochania — Geraldina nie mogła zapominać przy niej o człowieku, który dał jej najwyższą miłość swego męskiego serca, wybrał z pomiędzy wszystkich kobiet świata na towarzyszkę i serdeczną pomoc życia — o mężu, którego otaczały niebezpieczeństwa wszelkiego rodzaju. Mimo czystości i prostoty własnego serca, Geraldina poczęła już teraz rozumieć, że ta choroba duchów wyniosłych, która się zowie cierpieniem zawiedzionego ambicji, jest niebezpieczeństwem, cięższym może od innych — przepaścią otwartą na drodze ludzkiego życia, i przybyła jej jedna jeszcze, nieznaną poprzednio, troska niepokoju o męża. Dlatego i teraz nie chciała wrócić z matką do domu, do Endicot. Tam byłoby jej dobrze i cicho, każda twarz ludzka uśmiechałaby się do niej życzliwie i mała Maya rosłaby wśród kwiatów jak kwiatek; ale nie był to czas słodkich sielanek, i Geraldina, jak niegdyś w Gayfield, pozostała samotna w Bostonie. Tylko teraz była dalej jeszcze od stron rodzinnych, wśród obcego jej prawie i dużego już miasta, gdzie jednostka ginie w tłoku a tłum ludzki i ulice murów wytwarzają dla niej pustynię, cięższą nieraz do przebywania w niej, niż knieje lesne. W pierwszym miesiącu rozstania się z mężem miała od niego parę listów, zawsze pełnych najgorętszej miłości, ale nie wesołych, nie pocieszających. Czuć było w piszącym humor posępny i gorzyc serca; przytem sprawa publiczna go zasmucała. Ludziom, którzy się bili za wolność Ameryki, brakowało w massach uczucia poświęcenia i ducha bohaterstwa, przewódzcom zaś brakowało geniuszu wojennego, i kapitan Calverley pisał o tem z żalem ponurym; lecz gdy teatr wojny przenosił się coraz dalej w stronę Nowego-Yorku, korespondencya męża z żoną przerwała się i Geraldina pozostała w najokrutniejszej niewiedomości. Wiedziała tylko to, co ją dojsz mogło z gazet i krążących pogłosek; ale były to wieści codziennie smutniejsze: wojsko amerykańskie było nędzne i odarte, biło się źle; milicje, którym się kończył czas służby, opuszczały szeregi.

Patryotyzm i zapal serc słabł; poczynali się objawiać odstępstwa, ale Geraldina słysząc o nich nie bladła, nie drżała. Opuścić sztandar narodowy! Geraldina nie bała się takiej potworności, nie przypuszciała nigdy możliwości takiego upadku i trwogi jej były innego rodzaju. Lękała się jakiejś wielkiej niesubordynacji i katastrofy ciężkiej, która za tem następuje; ta myśl straszyla ją dniem i nocą; nieraz też błąda zrywała się ze snu, cała drżąc po marzeniu okrutnym, że jej Ralf stoi związany przed sądem wojennym, że każą mu opuszczać szeregi narodowe i złamać tę szablę, którą pragnął walczyć za Amerykę.

Ale inne, cięższe, straszniejsze przestępstwo nie powstało jej w myśli, nawet wśród takiej gorączki, która otacza ludzi chorych lwami, gotowemi na ich pożarcie, — weżmami, mającemi im się owinąć wokół szyi. Wśród najcięższych zapasów, w chwili największego parcia Anglików na armię Waszyngtona, wśród której znajdowała się już teraz konnica Calverleya, nazwisko jej Ralfa niejednokrotnie łączyło się w kronice wojennej z czynem dzielnego męża i rzutkiej śmiałości. Nie były to przecież jakieś dzieła wielkie, mające zacieżyć stanowczo na szali rozgrywających się losów Ameryki, nie.... Tylko jedna jakaś pozycja została broniona do ostatnich granic możliwości, albo batalion Calverley-Horses rzucił się z wodzem swym na czele w ogień najcięższy i utorował drogę innym, i ludzie opowiadali to sobie, dowiedziawszy się z opisu stoczonych walki o tym jednym jej epizodzie.

Serce Geraldiny biło wtedy dumą i radością, ściskając się zarazem niepokojem bolesnym. Czy Ralf jej jest teraz szczęśliwszy, czy nie czuje się niesprawiedliwie przygniecionym przez innych? Przewidywano, że dramat wojny stanie się jeszcze krwawszym, jeszcze cięższym w rozgrywaniu

się dalszem. Waszyngton kreślił kongressowi obrazy przyszłości, wymagające najwyższego nateżenia sił wszelkich, przepowiadał, że wódz angielski pokusi się niewątpliwie wśród nadchodzącej zimy o Filadelfię, ognisko rządu związkowego, i natarczywie domagał się więcej wojska, szerszej możliwości działania, i kobieta drżała, śniąc jednak zamiary ambitne — nauczyła się i tego przez miłość.

Tymczasem wojsko amerykańskie, cofając się z pod Nowego-Yorku, zajęło uciążliwą pozycję wśród wzgórz Haarlemskich. Była to chwila przystanku, Waszyngton chciał tu zahartować i zaprawić do boju garstkę swej armii; Geraldina spodziewała się teraz listu, jakiegoś słowa, przez które mąż dałby znać o sobie, ale czekała na próżno — nie doszło jej nic.... nic....

Co to znaczyło? Czekala już nie tylko dniami, ale nocami całemi i nieraz zrywała się z łóżka, gdy usłyszała tentent konia na ulicy. Ale, niestety, jeździec nie do niej przybywał i nie zatrzymał się też przed jej bramą, mijal ją, a ona przyciskała ręką serce, nie chcąc się długo uciszyć. Przecież wkrótce dołączyła się do tego tortura nowa, której znaczenia nie mogła zrozumieć. Spodstrzegła, że ludzie patrzą na nią w sposób dziwny, że często widząc ją przechodzącą, szepczą sobie coś do ucha, że jedni zaczynają wyraźnie stronić od niej, usuwać się, drudzy pytają natarczywie: czy zawsze nie wie nic o mężu? Zaczęło się to wkrótce po zwycięskiej dla Amerykanów potyczce na *White-Plains*. Tam właśnie kapitan Calverley odznaczył się ze swoją konnicą i wiedziała z raportów drukowanych, że żyje, że nie ranny. Ona czekała też jakiegoś słowa jego miłości i pamięci; ale oni, ci ludzie obcy, cóż chcą tak wiedzieć o nim?

Aż raz w Niedzielę, przy wyjściu z kościoła zauważyła już niewątpliwie oznaki szczególnego zajęcia się jej osobą. Widziała już wyraźnie, że ją sobie pokazują i usłyszała wymówione zarazem wyrazy przerażające: — Ach! zbrodniarz podły!.... Wart piorunu Bożego....

Co uczuła, co się z nią działo? Ogarnął ją przestach niepójety i uciekała co prędzej, kryjąc się pod cień murów, jakgdyby miano ją schwytać i wtrącić do więzienia. Znalazłszy się nareszcie w domu prawie bez tchu, zamknęła za sobą drzwi na klucz, na zasuwki, i trzeba jej było chwili pewnej, aby się opamiętała. Była szaloną; zmartwienia i przedłużona tęsknota, doprowadziły ją do rozstroju nerwów miewała wizje, halucynacje potworne. To, co słyszała, jeżeli słyszała rzeczywiście, nie mogło odnosić się do Ralfa.

Przecież po chwili napadła ją znowu trwoga, przytłumić się niedająca. A jeżeli mąż jej zabił kogo? Jeżeli pominięto go znowu, jeżeli nie oddano mu sprawiedliwości i gorzyc zalewająca mu serce wzburzyła się w nim i popchnęła jego ręką?

Jeżeli zabił Waszyngtona?

Jej dziecina zaczęła płakać; żądała od matki pokarmu, a ona nieszczęśliwa, załamała ręce z rozpaczą — mleko jej piersi zostało zatrute żółcią i mogło zabić malenstwo biedne.

Matka, odjeżdżając, ostrzegala ją i upominała pilnie, aby była pod tym względem uważną. Nie było wkoło niej nikogo, nawet sługi. W Ameryce już wtedy strzeżono tak surowo święta Niedzieli, jak dziś w Anglii; służba od porannego nabożeństwa aż do niesporów była wolną i obchodzono się dzień cały zimnem mięsem i herbatą, którą w większej części rodzin pobożnych robili sobie państwo sami. Na szczęście, Geraldina miała w domu trochę mleka i napiła niem głodną dziewczynkę, której jednak nie miała siły utrzymać na rękach. Łzy zalewały jej oczy i musiała położyć dziecko w kołyskę, aby nie upuścić go na ziemię. Poczęła mu śpiewać, kołyszając je, i zmęczoną, spłakaną, źle spijającą po nocach, zmorzył sen niespodziewany. Powieki się sklepiły, świadomość jakiejś okrutnej rzeczywistości zniknęła, i wyczerpana wzruszeniem spała tak chwilę długą, aż głuchy szum pochodzący z ulicy, odgłos podobny do toczenia się bałwanów morskich, przebudził ją nagle. Zerwała się, pobiegła do okna, i ujrzała, że mnóstwo ludzi śpieszy ulicą. Dążono kędyś, rozmawiając przytem żywo, gorączkowo. Oblicza były chmurne, ale policzki rozpło-

mienione rumieńcem, coś podniecało te tłumy w sposób niezwykajny — stać się musiała jakaś rzecz szczególna.

Geraldina zarzuciła chustkę na głowę, aby zbiedz na dół i dowiedzieć się co to jest — zarzuciła chustkę, bo nieszczęśliwa bała się teraz tego ludu, bała się tego czegoś, co się działo i lękała się zostać poznana. Ukryła więc lice, oile mogła, i przystanęła pod murem, kryjąc się poza gromadką kobiet, których słowa dały jej się domyślić, że wojsko przybywało do miasta i ludność Bostonu wybiegała, aby je powitać. Mówiono o *White-Plains* i wołano, że trzeba było sypać im kwiaty pod nogi — bohaterem i, jej serce zaczęło pierś rozpierać. Wojsko z pod *White-Plains*.... Więc tam być może i jej Ralf? Znowu dawało jej się, że rano była szaloną. Ralf dlatego nie pisał, że wracał, że może ujrzy go za chwilę....

Natura tej kobiety była poważną, ale gorącą. Ujrzy Ralfa.... Ta myśl przypięła jej skrzydła do ramion; już nic nie zważając na ludzi, na świat cały, puściła się szybko przed siebie i nie trzymając się chodnika, na którym był ścisk tych, co wychodząc z domów, stali przed niemi, poczęła biegać środkiem ulicy. Chustka już jej spadła na ramiona; piękna, szlachetna jej głowa ukazała się w nieładzie włosów złotych, na jasny blask słońca i cel oczów ludzkich, — ale ona nie myślała o tem. Prędko, prędko, naprzód....

Czekało ją tam jej przeznaczenie. Usłyszała w dali muzykę wojskową i przeciągłe, okrzyki ludu. Czy to nie Ralfowi tak krzyczą: — „Niech żyje, niech żyje!...“

Biegła, odgłosy się zbliżały, aż naraz ozwał się chór głosów męskich. To wojsko śpiewało, a ona poznała nutę hymnu konnicy Calverley'a i wyciągnęła obie ręce. — Jestem!.... jestem!.... wołała; na szczęście jej głos nikał wśród ogólnej wrzawy, lecz śpiew z towarzyszeniem trąb, zbliżał się, zbliżał się Ralf — ten jej Ralf, dla którego tyle przecierpiała, a na którego piersi teraz odpocznie — szczęśliwa!....

Fala ludu cofnęła się naraz w tył: z bocznej ulicy wyjechało czoło kolumny i z tysiąca piersi zabrzmiało: — Niech żyj! Niech żyje kapitan Honeywood, niech żyje!....

— Dlaczego nie wołają jej Ralfowi, aby żył?... Serce jej uczuło takikolec bólu, jakgdyby zarazili się od tegoż Ralfa gorzkim uczuciem zawiści. Ale ona, ona sama, rzuci w powietrze okrzyk na cześć jego — i przyspieszyła kroku; biegła wprost przeciw jadącym, słońce świeciło jasno i z powiewem jesiennego, już chłodnego wiatru zaszeleścił i rozwinął się sztandar pułkowy w ręku chorążego. Srebrne gwiazdy na błękitie, godła młodej amerykańskiej ojczyzny, ukazały się oczom Bostonńczyków i znowu huknęły głosy: — Filip Honeywood niech żyje — krzyczały tłumy — niech żyje mąż, dzielny, wierny rycerz sprawy ojczyzny!... aż naraz wydostał się z pomiędzy nich okrzyk inny, ostry, twardy, przenikliwy: — Na zagładę zdrajcę! odstępce!... na hańbę, na zgubę, na stryczek Ralfowi Calverley!....

Usłyszała i padła tak jak stała — na kolana. Nogi już jej nie mogły dalek nieść, rozum już nie mógł dłużej służyć. Padła i wyciągnęła ręce przed siebie, a konie jeźdźców były tak blisko, że jadący przodem dowódzca mógł ją widzieć wyraźnie i poznać; lecz ktoś z ludu, biorąc jej czyn za szalony wybuch uniesienia, porwał ją wcale nie delikatnie za ramię i odrzucił, jak piłkę, na stronę. — Czy chcesz, aby cię kopyta końskie rozdeptały na miazgę — krzyknął, a ona na szczęście padła na żywą ścianę tłumy, który nie dał jej runąć znów o ziemię. Czy ją kto poznał i zlitował się nad nią, odprowadził do domu? nie wiedziała — nie wiedziała nic, jak się tam dostała. Drzwi pomieszkania zostawiła otwarte, sądząc, że wybiega tylko na moment; lecz teraz nie badała tego zgoła, dla czego otworzyły się przed nią, tak, jak nie pomyślała wcale, co się może dziać z dzieckiem, czy służąca wróciła już i jest przy niem? Nic, nic nie myślała, może i nie czuła; była drętą, serce w piersi jej umarło i instynkt tylko wiodł jej kroki, które też nie zwróciły się jak należało lecz skierowały na drugą stronę kurytarza do pustej kancelaryi męża. Czy szukała tam jego cienia? Może, ale znać musiała znów

paść bezprzytomnie i leżeć długą chwilę, nieuczona przez nikogo, bo już zapadł wzrok wieczora, gdy ocknęła się na sofie, mając Filipa Honeywood przed sobą.

On ją widział i poznał nieszczęśliwą na ulicy, ale nie mógł wstrzymać pohodu. Odprowadzał do Bostonu batalion Ralfa Calverley, który po bitwie pod *White-Plains*, gdzie walczył z poświęceniem i mężstwem rzadkiem, gdzie został też zaraz mianowany majorem, a czyny jego ogłoszone w raportach głównie dowodzącego — przeszedł do nieprzyjaciół.

Snadź oczekiwał wyższego awansu i wyższej nagrody, i uważał, że postąpiono z nim niesprawiedliwie, bo po nominacji i pochlebnych słowach, wyrzeczonych do niego wobec wojska przez samego Waszyngtona, gdy mu kazano wrócić do Massachusetts i uzupełnić swój, bardzo uszczuplony, batalion, powiększyć go nawet ile można przez zaciągi na koszt rządu, on skierował się w stronę zupełnie przeciwną i przeszedł do Anglików.

Chciał przeprowadzić do nich i cały batalion, lecz nie udało mu się tego uczynić. Spostrzeżono, że zmienił drogę, że się zbliża do twierdzy Ticonderoga, będącej już znowu w posiadaniu angielskim, i wymówiono mu posłuszeństwo. Zaczęto od błagania go, od zaklinania na pamięć przeszłości, aby zmienił myśli, jeżeli knuje w nich zdradę, ale on ostro krzyknął na officera, który przemawiał, krzyknął, że zaciężni jego batalionu winni jemu głównie posłuszeństwo, — kazał aresztować przemawiającego i wtedy pękły węzły łączące go z drużyną, na której czele walczył dotąd tak dzielnie za wolność Ameryki. Nie słuchano go i tylko w miejsce odpowiedzi ktoś doń strzelił, chybił na szczęście, czy nieszczęście, lecz byłoby się posypało więcej kul bratnich, szukających piersi odstępcy, gdyby nie Filip Honeywood. Zasłonił go własną pierś, jak niegdyś, ale nie podał mu już ręki na pożegnanie, nie powiedział mu: przyjacielu! Stał na czele batalionu i wedle narady z officerami, odprowadził go do Bostonu, z kąd postanowił wysłać raport do głównej kwatery, dając znać, co się stało, i żądając od naczelnego wodza dalszych rozkazów. Ale człowiek ten z litościwem sercem w piersi uczyni to później, w nocy, a teraz, skoro tylko zsiadł z konia, pośpieszył do nieszczęśliwej kobiety, którą widział klęczącą na ziemi przed nogami jeźdźców swoich, jakgdyby pragnęła być strąconą przez kopyta koni, któreby przeszły po jej ciele.

Nie znalazł jej przy dziecku, nie znalazł jej w pokojach jej mieszkania i wiedziony przeczuć, skierował się tam, gdzie ją mogła zapędzić siła rozpacznych wspomnień. Nie omylił się też: Geraldina była tam — leżała rozciągnięta na podłodze i zrazu sądził, że to jest trup tylko. Ale młodość posiada moc wytrwałą, która nie daje jej umierać tak prędko, i nieszczęśliwa przyszła też jeszcze do zmysłów. Nie można było przed nią klamać: i Filip Honeywood musiał jej powiedzieć całą prawdę. Jej mąż przeszedł do wrogów; jak wieść zaszyszana przez niego niosła, znajdował się w tej chwili w pobliżu twierdzy Ticonderoga, w małym miasteczku Tryon, gdzie stał sztab pułku dragonów angielskich, dowodzonych przez pułkownika Olivera.

Geraldina wysłuchiwała go cicho i tak spokojnie, jakgdyby była małą Mayą, leżącą w kolebce. Wiadomości, gdzie Ralf Calverley przebywa teraz, zostały jej udzielone na żądanie. Pytała o to Filipa Honeywood, i gdy jej odpowiedział, podniosła się nawpół z sofy, na której złożył ją, aby cucić. — Jadę do niego jutro — rzekła.

— Pani jedziesz jutro... gdzie?... do kogo?... — zawołał, zdziwiony.

— Jadę do Tryon, do mego męża — rzekła.

— Do Anglików... do wrogów Ameryki...

— Do mego męża — odpowiedziała z naciskiem głosu, który zrozumiał. Przecież nie mógł przyjąć obojętnie tego, spokojnie uczynionego mu wyznania. — Pani! — krzyknął — czy ty wiesz, co to znaczy? To po zdradzie twego męża — zdrada twoja, — odstępstwo drugie!...

Ona podniosła na niego wzrok smutny, jakgdyby skarżący się, że tak bezlitośnie szarpie jej serce; lezka jedna pokazała jej się perełką u brzegów

rzęsy długiej i zadrżała na nich. — Nie — odrzekła zcichą — ja nie zdradzam, tylko jadę do mego męża.

— Ale pani jesteś istotą ludzką, obywatelką swojego kraju, Amerykanką...

— Tak — odparła — jestem tem wszystkim i w dodatku jestem żoną obłąkanego człowieka, do którego należy mi śpieszyć i śpieszyć prędko, bardzo prędko...

Podniosła się całkowicie i siadła na sofie, oczy jej rozblysnęły, słaby rumieniec zafarbował bledziutkie lica. — Muszę się śpieszyć, aby nie przybyć zapóźno — rzekła.

— Zapóźno... na co? — zapytał Honeywood. Miał w głosie głuchy żal i bolesną niecierpliwość, hamowaną z trudnością. Wyrzut smutny patrzył mu z oczu, dusza jego zdawała się wołać na tę piękną i tak ciężko doświadczaną kobietę, jakim sposobem jej czyste serce mogło z zapomnieniem wszystkiego kochać tak — zdradając!

— Śpieszę się, aby przybyć, zanim się przeważy mój los — odparła Geraldina zcichą — zanim mój mąż umacza ręce w krwi bratniej.

— Ach! — wykrzyknął Honeywood; ale ona nie zdawała się go słyszeć. — Jadę tam, aby go wrócić Ameryce — rzekła — po to jadę. Obłąkało go nieszczęście i jadę go ratować. Przysięgam mu miłość i wierność i muszę jechać... muszę być mu wierną. Gdyby tonął, rzuciłabym się w wodę, aby go wyostać, — gdyby chorował, siedziałabym przy jego łóżku i podawała lekarstwa. Teraz dusza jego jest chora: czyż mam go opuścić?

Zapytanie to, uczynione Filipowi Honeywood, kazało mu spuścić oczy. Ta słaba, delikatna kobieta, miała większą od niego moc ducha, wyższe mężstwo, silniejsze poczucie obowiązku. Nie mógł jej teraz powiedzieć: — nie jedź!... tylko serce ścisnęło mu się w piersi na myśl, jak trudną, jak niepojęcie ciężką była droga, którą sobie obrała. I czy ten człowiek, który przez uczucie obrażonej pychy, zawiedzionej ambicji, doszedł do zdrady kraju, był jej godnym — jej, jej miłości, jej poświęcenia? Filip Honeywood westchnął, ta kobieta była żoną i nie mógł już też nic uczynić, nie powiedzieć, tylko schylił się do ręki Geraldiny i wycisnął na niej pocałunek pełen najgłębszego szacunku, najgłębszego uszanowania. Prosił jej tylko, aby pozwoliła mu dopomóc sobie i ułatwić jej wyjazd, prosił i o to, aby wyjeżdżała nie jutro w dzień, ale jutro wieczorem. Lud jest oburzony, bo to jego bohater zawiódł go — mogły ją zatem spotkać rzeczy bardzo przykre, gdyby się domyślono, że jedzie do męża. Obiecywał przyjść do niej, gdy się będzie, tak jak teraz, zciemniało, i wyprawi ją w drogę.

Ona się rozplakała z wdzięczności. Był to może jedyny i ostatni już człowiek uczciwy, który jako przyjaciel podawał jej rękę, bo ona nie będzie już mogła, ani nawet chciała, tak tłómaczyć się innym. Nim trzy dni upłyną, Bostonczycy będą tak kląć jej nazwisko, jak słyszała, że kleli jej męża.

(Dalszy ciąg nastąpi).

WYSTAWA ETNOGRAFICZNA

Profes. Dr Dybowski.

Dla powiększenia funduszów jednej z najszybciej rozwijających się instytucji warszawskich, znakomity nasz podróżnik-uczonec dr. Benedykt Dybowski, wystawił na widok publiczny w domu hr. Krasńskiego przy ulicy Ordynackiej część swych zbiorów, pochodzących z Kamczatki, Wysp Komandorskich i wybrzeży Oceanu Wielkiego i Indyjskiego, na których się zatrzymywał w podróży powrotnej do kraju. Jakkolwiek i ilościowo i jakościowo, zbiory wystawione przedstawiają się bardzo pokaźnie, jednakże, jakieś nadmienili — jest to tylko część ogólnej naukowej zdobyczy dr. Dybowskiego na ziemi przez fale Oceanu Spokojnego oblewanej. Wybrano tylko to, co najjaśniej i najzrozumialej może przemówić do

przeciętnego człowieka, to, co go najbardziej zainteresować może. Reszta zaś, daleko większa część całkowitej kolekcji naszego uczonego, spoczywa już w gabinecie Zoologicznym Warszawskim lub też nie została jeszcze z pak podróжных wydobyta, i w niepokąźnych najczęstiej okazach czeka żmudnej i długiej pracy uczonego, który z tego, napozór niczem niezwiązanego i niemego materiału, obraz trzech królestw natury na Kamczatce i wybrzeżach przyległych odtworzy.

Najbardziej interesującą dla człowieka istotą, jest — człowiek; najdostępniejszym i najzrozumiałszym dla niego jest to, co jego rodu dotyczy. W tym względzie często może się obyć bez szerokiej nauki; własne jego doświadczenie, własna wyobraźnia i współczucie powiedzą mu w tym zakresie to, co w innych tylko żmudną pracą badawczą osiągnąć potrafi. Więć też i na tej popularnej wystawie zbiorów dr. Dybowskiego mamy prawie wyłącznie tylko okazy dotyczące człowieka, warunków jego bytu i działalności na najwschodniejszej kończyźnie lądu starego.

Pojęcie o cielesnym typie tamtejszego człowieka, najłatwiej-by nam dały szkielety; lecz niema ich na wystawie. Posłał je dr. Dybowski do zbierania i oznaczenia stanowiska owych ludów w szeregu antropologicznym, znakomitemu naszemu antropologowi, prof. Kopernickiemu w Krakowie. Lecz na braku ich na wystawie przeciętny widz niewiele traci, bo nie posiada klucza, któryby go czytania faktów w nich zawartych nauczył, — i zapewne nie bardzo ich żałuje, bo-by go zbyt silnych a niezbyt popularnych wrażeń nabawiły. Nieobecność ich całkowicie, i to nawet z wielką w tym razie korzyścią, zastąpią mu fotografie, których zbiór nie dotyczy samych tylko mieszkańców Kamczatki i Wysp Komandorskich, lecz obejmuje i wiele innych ludów, z którymi dr. Dybowski się zapoznał za czasów dawniejszych badań, i podczas podróży powrotnej. Mamy tu więc typy Kamczadałów, Łomutów (Lamutów) i metysów kamczackich, Aleutów z wysp Komandorskich, Buryatów z okolic Bajkału, Gilaków i Goldów z krainy Nadamurskiej, Japończyków, Korejczyków, Chińczyków, Malajczyków, a wreszcie Rusinów z guberni Smoleńskiej, przesiedlonych weszłym wiekiem za Bajkał. Przeglądając typy owych okolic dalekich, krain, niemal że legendowych, niejedyn gotów się zdziwić, iż tak mało różnią się one od typu europejskiego. Rzeczywiście, rażące oko różnice tylko u niewielu indywiduów występują; bądź co bądź jednak, różnice antropologiczne stawiają od nas te typy daleko. Bliżej są one spokrewnione z Mongołami, Tatarami, Chińczykami i t. d., wogóle z ludami, do których i terytoryalnie są zbliżone. Coś pewnego da się powiedzieć o tych typach dopiero wtedy, gdy dr. Kopernicki ukończy swoje badania. Ważnym przyczynkiem do określenia stanowiska Kamczadałów będzie też oznaczenie ich języka. Zebrany przez dr. Dybowskiego materiał lingwistyczny na opracować p. Radliński. Teraz da się powiedzieć tylko, że język ten należy do przyczepkowych, takich, jak tatarski.

Pokarm powszedni danego ludu, daje nam również ważny materiał do jego charakterystyki: „Powiedz mi co jadasz, powie ci, jakiś autor, a powiem ci, kto jesteś“. I rzeczywiście, pokarm wpływa, nie tylko bezpośrednio na anatomiczne i fizjologiczne cechy organizmu, ale, jak wogóle wszelkie ważne warunki zewnętrzne, nadaje kierunek działalności człowieka i wprost na jego losy wpływa. To też środki pokarmowe, które widzimy na wystawie, nie są wyłącznie tylko przedmiotem próżnej ciekawości. Widzimy tu wprawdzie te tylko z nich, które się dały zakonserwować, reszty jednak dopełnią nam pewne szczegóły życia i głównych zajęć ludów Kamczatki. Mamy tu najpierw niektóre ryby suszone, stanowiące główny pokarm Kamczadałów, dalej renifery, niedźwiedzie, foki, które karmią się przegodnie, o tyle, o ile uda im się upolować je; polują zaś na nie głównie dla skóry, służącej do odzieży, niektórych sprzętów i przyrządów, oraz będącej przedmiotem handlu.

Dalej widzimy trochę pokarmów roślinnych, dotąd w Europie nieznanych, jako to: dziki kartofel, zwany „Kiemczyga“, cebulki lilii sarana

i innych, których sami Kameczadale nie hodują i nie zbierają, lecz rabują z gniazd polników nagromadzających je sobie na zime; dalej korzeń nieznaney rośliny Remgouwe i kilka innych. Znanie nam zboża reprezentowane są bardzo nielicznie z dopiskiem „wyhodowane w Kameczatce”. Znaczący to, że uprawa tych zbóż na Kameczatce prawie nie istnieje; że jeżeli były dotychczas jakieś usiłowania zaaklimatyzowania ich i uprawy na większą skalę, to spełzły na niczem. A stało się to z powodu nie klimatu, lecz, ospałości i braku cywilizacji mieszkanców. Rzeczywiście cała ilość mąki i chleba jest w Kameczatce towarem importowanym na okrętach z Japonii i Ameryki, a spożywają je tylko przedstawiciele cywilizacji, ludzie bogaci, w większych i bliższych drogach komunikacji osadach, których jest tak niezmiernie mało. Inaczej mówiąc, chleb jest dostępny tylko istotom wybranym i suchar na Kameczatce gra zupełnie taką samą rolę, jak u nas gdzieś, w głębokim zakątku wiejskim, wyborny cukierek.

Nie należy jednak sądzić, żeby ten brak kultury był wynikiem braku rozumu. Niekoniecznie przyczyną braku kultury musi być brak rozumu. Patrząc, jakie piękne rzeczy robią owe dalekie ludy, jak dowcipne urządzają zatraski na zwierzęta; jakie robią sobie sieci, nitki, odzież. Przyjrawszy się bliżej temu wszystkiemu, dochodzimy do przekonania, iż ludy te trzymają na stopniu dzikości, nie brak rozumu, lecz z jednej strony nałóg, przyzwyczajenie do uświęconych zwyczajów przodków, a z drugiej brak pobudki, brak należytego wpływu ze strony rasy wyższej, która ucywilizowaniem Kameczadale powinna była się zająć.

Podobnie mieszkańcy owych stron dalekich, nie są pozbawieni i gustu estetycznego. Widać to już z obszycia ubiorów kameczadalskich i łomuckich. Równość, symetria, proporcja, dobór barw, dość przyjemne sprawiają wrażenie. Zbiór rzeźb koryackich i łomuckich z zęba morsa, które widzimy w jednej z gablotek, dowodzi, iż Kameczadale lubują się w sztuce plastycznej, że wcale ciekawe temata do niej wybierają i, przynajmniej tak zręcznie już nasi domorośli wiejscy artyści, z kości je wyrzynają. Wreszcie wszystkie te ludy bardzo lubią muzykę, mają specjalne narzędzia muzyczne, a melodie kameczadalskie, odznaczają się nawet czemś pociągającym. Wszakże już cesarzowa Elżbieta sprowadziła do Petersburga dziewczeczki kameczadalskie, aby jej wyspiewywały piosenki tworzone wśród szumu fal Oceanu Wielkiego przez lud skazany na nieuchronną zagładę.

I rzemiosła stoją u mieszkańców Kameczatki i wysp przyległych na stosunkowo dość wysokim stopniu. Obejrzyjmy te skóry wyprawne te wyrobione z nich buty, skarpetki, zwierzną odzież, uprząż, koszule z błon, nici, modele łódek, domów: a dojdziemy do przekonania, że ludy te przy sprzyjających okolicznościach byłyby zupełnie zdolnymi do postępu, przynajmniej w zakresie kultury materialnej.

Ciekawą jest wielce aleucka proca do strzał na zwierzęta morskie. Jest to deseczka z wyłobieniem, o które opiera Aleut tępą koniec strzały, i tak umiejętnie nią włada, że deseczka w zupełności łuk mu zastępuje.

Obok tych wzorów cywilizacji pierwotnej, obok prostoty wyrobów przydatnych tylko do zaspokojenia pierwszych potrzeb życia, widzimy okazy cywilizacji wysokiej, najwyższej z cywilizacji azjatyckich. Są to wytwory starego i wydoskonalonego przemysłu artystycznego Japończyków. Dość spojrzeć na te stoliki pokryte śmiałymi rysunkami ptaków i roślin, wypukło malowanymi zapomocą owego nieporównanego lakieru Chińczyków i Japończyków, który napróżno naśladować usiłują Europejczycy—na tę porcelanę, szachy i inne wyroby z kości, aby przyznać, że mamy tu do czynienia z ludem, który wprowadził kroczył po innych ścieżkach, ale doszedł tej niemal wysokości, co rasa aryjska, i bezwarunkowo zaraz za ludami Europy stoi na skali cywilizacyjnej.

Jednym słowem: nie tylko uczoneму ale wogóle ukształconemu widzowi wystawa zbiorów dr.

Dybowskiego daje obfity a nauczający materiał do rozmyślań. Przedstawiając nam obrazy kultury odmienne od naszych, pozwala nam wyrobić sobie pojęcie o naszym stanowisku. Każdy okaz tych zbiorów mógłby dostarczyć przedmiotu do długiej rozprawy. Ścieśnieni jednak zakresem i zadaniem pisma, musieliśmy się ograniczyć tylko na ogólnym poglądzie. Wyjątkowo tylko w zakończeniu dotknijmy szczegółu wielce zdumiewającego, który wszystkich widzów niepomniecznie zainteresował. Mówimy o zwierciadłach magicznych, owych lusterkach metalowych Chińczyków i Japończyków, które od swej polerowanej powierzchni, za puszczeniem na nią wiązki światła odbijają na ścianie białej lub suficie zarys obrazu wypukłego pomieszczonego na stronie odwrotnej. Jakim sposobem obraz strony odwrotnej działa na powierzchnię odbijającą? W jaki sposób wpływ jego przedostaje się na stronę przednią? Sami Chińczycy i Japończycy nie wiedzą o tem, i nie umieją umyślnie fabrykować zwierciadeł magicznych. Są to dzieła przypadku, wyjątki pomiędzy mnóstwem zwierciadeł zwyczajnych. Dopiero w Europie odkryto przyczynę tej „magiczności”. Lecz choć zbadano ją już dosyć dawno, jednakże dotąd niewiele osobom jest znaną i niektóre pisma nasze zupełnie fałszywie ją tłómaczyły. „Magiczność” pochodzi ztąd, że odbijająca powierzchnia zwierciadła nie jest zupełnie równą i płaską; w miejscach cieńszych odpowiadających wklęsłościom rysunku strony odwrotnej jest cokolwiek wypukłą i działa jak zwierciadło wypukłe, t. j. rozprasza promienie, w miejscach zaś grubszych, odpowiadających wypukłościom tylnej strony jest płaską, i odbija promienie równolegle. Ztąd więc na obrazie wiązki światła, rzuconej na zasłonę, musi powstać rysunek jaśniejszy na tle ciemniejszym. Jednostajność powierzchni zwierciadła jest więc tylko pozorną: stwierdzono to i bezpośrednio i doświadczeniami. Szczegóły dotyczące fabrykacji tych zwierciadeł oraz doświadczeń, któremi sprawdzono podaną tu teorię, pomieściłem jeszcze dawniej w „Nowinach” (r. 1882, Nr. 18, 19, 20).

Bronisław Rejchman.

Kronika działalności kobiecej.

Wysoka użyteczność, jako doktora medycyny dla chorób kobiet i dzieci, pani z Tomaszewiczów Dobrskiej wykazała się tak przez szerokie koło praktyki, jak i przez ogólne uznanie posiadane przez tę panią w mieście naszym. Otóż obecnie przybywa Warszawie drugi doktor medycyny kobiecie: p. Teresa z Cieszkiewiczów Cieszkiewicz. Rodem ze Żmudzi, naukowo kształciła się w Rydze, gdzie też odbyła pierwsze studia medyczne, następnie w 1874 r. udała się do Szwajcarii, weszła jako studentka medycyny do uniwersytetu w Bern, gdzie pozostawała lat pięć. Po ukończeniu studiów udała się do Dreźnie i przy profes. Winkel, specjalście w chorobach kobiecych, uważającemu to za postęp szczęśliwy, aby kobiety kształciły się i praktykowały w tej gałęzi nauki lekarskiej, pracowała przez kilka miesięcy, jako jego asystentka. Po wyjeździe z Dreźnie, praktykowała w Rydze, wreszcie w Maju roku zeszłego złożyła wymagalny egzamin w Petersburskiej Radzie Lekarskiej, i przybywszy do Warszawy, praktykuje od 1 Października r. z.

Doroczne sprawozdanie *Towarzystwa Pań Miłośniczek św. Wincentego a Paulo* wykazało taki stan jego. Pań czynnych, to jest odwiedzających ubogich, roznoszących im wsparcie tak w pieniądzu, żywności jak i lekarstwach, było 40; wnoszących tylko składkę 28. Z tych umarły dwie, wyjechało lub wydalilo się ze stowarzyszenia 9, razem ubyło towarzystwu członków 11. Rodzin wspieranych było 705. Z powodu zmienionych

okoliczności wykreslono z tej liczby 314, pozostaje zatem w opiece Towarzystwa na rok bieżący 389. Lekarstw rozdano 6,819; ubrania sztuk 1,092; chleba 101,284 funtów; kaszy i mąki 281 korcy; kartofli 50 korcy; soli 7,649 funtów; okras w wartości 43 rs. W zakładach dobroczynnych i w służbie umieszczono osób i dzieci 163. W czasowym przytułku Towarzystwa znajdowało się w ciągu roku dzieci 44, obecnie pozostaje tam 20. Dochodu z kwest i darów dobroczynnych osób, oraz z procentów od sum legowanych Towarzystwu (853 rs.) było 11,991 rs.; rozchód wynosił 11,635 rs., pozostaje zatem na rok bieżący wraz z remanentem z roku zeszłego 400 rs., zapasu. Towarzystwo to zaczęło z rokiem bieżącym trzydziesty rok swego istnienia w Warszawie. Posiedzenie odbyło się poraz pierwszy w domu przy ulicy Ordynackiej (Nr 2874), gdzie mieści się jego kancelarya.

Towarzystwo *Schronienia nauczycielek*, w sprawozdaniu swem za rok ubiegły, przedstawia stan taki: Przebywało stale w Schronieniu 15 nauczycielek emerytek, które dla podeszłego wieku i sił starganych, już dalej pracować nie mogąc, znalazły w schronieniu przytułek dogodny, otrzymując z funduszu towarzystwa całkowite utrzymanie, pomoc lekarską i odzienie. Nauczycielek bez miejsca, chwilowo w zakładzie przebywających, za dzienną opłatą pół rubla, mieściło się 48, które razem spędziły tam dni 1,793, a które następnie za pośrednictwem zakładu znalazły zajęcie. Jeżeli *Schronienie* jest, ze względu na zmęczone i pracować już niemogące, dla wieku lub stanu zdrowia, nauczycielki, instytucją najwyższej użyteczności, prawie równa temu jest użyteczność takiego przyjmowania do zakładu nauczycielek, pracy poszukujących i przybywających po nią do Warszawy. Nietylko to, że nieuczciwem jest nieraz postępowanie kantorów stręceń, gdzie dotąd nauczycielki mieścić się musiały w czasie chwilowego przebywania w mieście naszym (jak smutna i wstrętna tego ilustracja wyszła świeżo na jaw wiadomości publicznej z procesu Maryli P., którą kantor stręceń popchnął bez jej wiadomości i w wieku prawie jeszcze dziewczęcym, na drogę niebezpieczeństwa i wstydu) ale kantor stręceń nawet najuczciwszy, jakie niewątpliwie posiadamy, musi liczyć na zysk, z którego czerpie utrzymanie swoje, co dla nauczycielki, w tej chwili bez zarobku, jest rzeczą uciążliwą. Przytem *Schronienie* to dla nauczycielek coś jak dom rodzinny z jego przytulnością i niezawisłością razem, bo regulamin wewnętrzny nie ścieśnia bynajmniej swobody działania, tylko ustala godziny posiłku i niektóre przepisy porządkowe, konieczne potrzebne przy wspólnem przebywaniu większej liczby osób. Zakład posiada bibliotekę, złożoną z kilkuset tomów dobrych książek, fortepian i pisma peryodyczne; przebywające tu znajdują towarzystwo koleżanek i opiekę bezinteresowną, szczególnie potrzebną młodym i niedoświadczonym. Pośrednictwo zakładu jest też rzeczą wielce cenną, bo daje gwarancję wyższą dla stron obu: dla rodziny, która nauczycielek potrzebuje, i dla nauczycielki, która szuka nietylko pracy, ale i przyzwoitego miejsca przebywania. *Schronienie* na mocy ustawy swojej (§ 1) miało zawsze prawo takiego przyjmowania na pobyt chwilowy nauczycielek i pośredniczenia w wyszukiwaniu im miejsc, przecież nie mogło zaraz w pierwszym czasie swego istnienia, rozwinąć tej dobroczynnej działalności i dopiero od połowy roku zeszłego otworzyło miejsce dla chcących tam szukać chwilowego pobytu. Byłoby rzeczą niezmiernie pożądaną, aby działalność zakładu w tym kierunku rozwinęła się jaknajszerszej, dla korzyści tak nauczycielek, jak publiczności.

Ponieważ są nauczycielki, które, uzbierawszy pewien kapitał, pragną zapewnić sobie za jego pomocą przyszłość spokojną—*Schronienie* urządziło u siebie pięć miejsc, gdzie za złożeniem rs 1,000 na rzecz instytucji, jednakże z prawem zwrotu, w razie zażądania tego przez składającą, otrzymuje się dożywotne pomieszczenie z całkowitem utrzymaniem i odpowiednią wygodą. Wkłady wnoszone w tym celu, są albo deponowane w Kasie Przemysłowców, albo zabezpieczone na inwentarzu instytucji.

Trzy osoby szukały i znalazły na tych warunkach pomieszczenie w zakładzie, zabezpieczając sobie przyszłość, jakiejby w innym razie procent od rs. 1000 dać nie mógł.

Na nieszczeście instytucja ta, koniecznej potrzeby w każdym cywilizowanym społeczeństwie, nie ma u nas jeszcze gruntu stałego, to jest własnego majątku, na którym-by opierać się mogła bezpiecznie, a całe swe utrzymanie zawdzięczać musi z roku na rok łasce dobroczynności publicznej. Dochód zeszłego roku z opłaty rocznej od członków Stowarzyszenia wynosił tylko rs. 2,018, co jest bardzo mało ze względu na ilość nauczycielek, z których każda przez interes własny, przez myśl rozsądną o niepewnej przyszłości swojej, wejść-by powinna do towarzystwa, na co przecież potrzeba jej tylko złożyć rocznie rs. 10, aby jako członek rzeczywisty stowarzyszenia miała potem prawo do jego pomocy. Jest to nieopatrność tak wielka, że jej zrozumieć trudno; dla ułatwień pewnych w usunięciu jej, podajemy tutaj adres *Schronienia*; Ulica Żorawia Nr. 3.

Przytem redakcja ofiaruje chętnie pośrednictwo swoje co do znoszenia się z zakładem, tak przy ofiarach na rzecz *Schronienia* czynionych, jak i opłatach wnoszonych przez członków. Roczna opłata członka wspomagającego jest rs. 5 i każda matka, która w pracy wychowania dzieci szuka pomocy nauczycielki, powinna-by sobie uważać za święty obowiązek, aby tak mały roczny datek przyłożył się do zapewniania starości tych użytecznych współpracowniczek w wychowaniu młodzi.

Pierwszym skromnym zaczątkiem żelaznego kapitału stowarzyszenia jest w roku zeszłym otrzymany zapis testamentowy Maryi z Wiśniewskich Turowskiej, która tą ostatnią wolą swoją darowała stowarzyszeniu dom z ogródkiem w mieście Lubartowie, przedstawiający wartość około rs. 2,000. Stowarzyszenie liczy przeszło 200 członków, w liczbie których jest tylko 18 nauczycielek, co zdaje się być rzeczą niepodobną do uwierzenia, a jednak prawdziwą. Dziesięć rubli rocznie, byłoby jednak dla każdej z nich cegiełką na dom starości swojej, na te chwile niemocy i osłabienia, które już pracę na chleb wyłączyć musi. Jest pewna szlachetna duma w tem, aby zapewnić to sobie siłą własną, póki ta służy. Na czele *Schronienia* stoi zawsze zacna jego założycielka p. Agnieszka Helwich; administratorką, zajmującą się czynnościami gospodarskimi, jest p. K. Gruszczyńska. Służących jest w zakładzie 4 i 1 szwaczka. Płaca administracji i służby, kosztowała zakład w r. 1883 rs. 236.

— Z początkiem bieżącego roku został otwarty przy ulicy Niecałej pod Nr. 8 zakład artystyczno-ornamentacyjny pod firmą *Leopold* w którym pracują wyłącznie kobiety; prócz dyrygującego zakładem, przybyłego do nas z Paryża Francuza, p. Leopolda, i jego pomocnika, Francuza także, wreszcie chłopca do posługi, niema tu nikogo więcej z mężczyzn. Dyrygujący mówi niezłe polsku, i jest aż dotąd zadowolony z robotnic, które okazują odpowiednią zdolność i chęć do pracy. Każda z nich ma swój wydział pracy: jedne modelują z gliny, inne rzeźbią drzewo, inne jeszcze metalizują. Wszystkie są Polki, Warszawianki; przecież wzory, a nawet materyały, są francuskie, co z początku, jak uważa właściciel fabryki, jest koniecznością. Fabryka wyrabia różne ornamentowe gzemisy i ozdoby salonowe, złożone i w ogóle metalizowane, metalizuje popiersia gipsowe. Modele są, naturalnie, w stylu francuzkim, najwięcej z czasów Ludwika XIV. Fabryka odtwarza przecież w gipsie i starożytnego smaku przedmioty; zbyt i powodzenie jej jest zadawalające. I we Francji kobiety pracują poważnie w tej gałęzi pracy.

— Hrabia Andrzej Potocki, świeżo doktoryzujący się w Krakowie, jako prawnik, w czasie

zwykłej mowy, w której doktorant odpowiada na przemowę rektora uniwersytetu, skierował słowa wdzięcznej podziękki ku matce swojej, wyrażając się, że młodości jego, ta matka wdowa, dawała „ojcowskie kierownictwo“. Dodać należy, że ta, jak wnosić trzeba, rozsądną i zacną pani, hr. Adamowa Potocka, nie zdjęła od śmierci męża sukni czarnej. I to już jest silnie oddziaływającym na syna wpływem matki, gdy w niej widzi podniosłą dostojność cnotliwie szlachetnej matrony.

— W roku szkolnym z 1882 na 1883 dwadzieścia jeden studentek uniwersytetów włoskich, otrzymało premia.

— Na holenderskich uniwersytetach studjuje obecnie 36 kobiet; i tak: w Leydzie 4; w Utrechcie 7; w Gronindzie, 7; w Amsterdamie 18.

— Sędziwa flamandzka pisarka, Marya von Ackere Doolaeghe, otrzymała w osmdziesięcioletnią rocznicę urodzin swych od Króla Belgijskiego order Leopolda, z listem, w którym król jej dziękuje, że zachęcała ludzi do cnoty, stając zawsze na gruncie uczciwych dążeń i pragnień szlachetnych, nie żądając nigdy poczytności, która by się opierała na niezdrowej i ducha denerwującej sensacyjności.

— W konkurencji do internatu przy paryżkich szpitalach, gdzie dopuszczane bywają tylko takie studentki medycyny, które odznaczyły się szczególnie w naukach, zwyciężyły nad innemi kandydatkami trzy Francuzki: Sarante, Dubois i Chapin. Dotychczas miejsca te zajmowały Amerykanki lub studentki z północnych stron Europy; paryżskie pisma cieszą się zmianą ztąd pomyślną, że Francuzki będą delikatniejsze i więcej kobiecości od poprzedniczek swoich okazujące, przytem poważniejsze w układzie i uważniejsze pod względem kobiecego taktu i skromności.

— Prawodawstwo szwedzkie, zmieniając dotąd istniejące prawo spadkowe, przypuściło kobiety do równego działu z braćmi w dziedziczeniu majątku rodzicielskiego. Dotychczas w jednej tylko miejscowości południowej Szwecyi, w mieście Warend, kobiety używały takiego prawa równości, co im nadanem zostało w nagrodę za dzielną i mężkiew równającą się obronę miasta, w chwili napadu Duńczyków. Wdowy i pełnoletnie panny używają w Szwecyi prawa głosowania przy wyborach do gmin miejskich.

— Szwajcarska pani, Lenz-Heyman, wniosła do magistratu miasta Bern petycję o założenie kolonii roboczych dla moralnie zaniedbanych dziewcząt, oraz kobiet niemających stałego zamieszkania i sposobu do życia. „Zaniedbanie moralności kobiet, obniża ogólny poziom moralności w kraju“—oto zasada z której wychodzi słusznie. Założenie u nas instytucji odpowiadającej osadom rolnym dla chłopców, jest rzeczą naglącej potrzeby i razem słuszności. Kobieta ma prawo, równe z mężczyzną, aby społeczeństwo dało jej wychowanie możliwie moralne i przed złem chroniące. Wydatek na kolonie dla małoletnich przestępczyń, opłaciłby się oszczędnością na więzieniach i domach kary. Przytem społeczeństwo każde ma obowiązek poprawiać, póki czas, aby później nie karać. Taka przewencyjna moralność jest najszlachetniejszą, najbardziej chrześcijańską, najsilniejszą ludzką moralnością i my chyba jesteśmy jedynym w Europie krajem, gdzie takiego poprawczego wychowawczego zakładu dla dziewcząt niema. Kobiety też nasze, nasze bogate panie, powinny-by wziąć na siebie inicjatywę tego dzieła sprawiedliwości i miłosierdzia społecznego. Nie brak może chętnych i zdolnych do poświęcenia trochę czasu, trochę pieniędzy swoich, i może braknie tylko myśli w tym kierunku zwróconej. Przecież o dobrem zapominając, jest to na obojętności oparty pakt, ze złem zawierać.

1^{sza} SZKOŁA KORONKARSTWA

Nauka bezpłatna.

Zapis odbywa się w Poniedziałki, Wtorki i Czwartki od godziny 12 do 1 z południa. Deseenie i przybory do wyrobu koronek nabyć można w szkole; Krakowskie-Przedmieście Nr 40, mieszkanka 3.

Do dzisiejszego numeru *Bluszcza* dołącza się dokończenie tomu II-go: oraz arkusz 1-szy i 2-gi tomu III-go powieści pod tyt.: **Widmo szczęścia**.

OD WYDAWCY „BLUSZCZU”

Tom drugi dzieła pod tytułem

ROZRYWKI

DLA MŁODOCIANEGO WIEKU

przez Sew. Żochowskich Pruszkową

W ciągu 3—4 tygodni opuści prasę

Tom III wyjdzie w Czerwcu r. b.

„ IV „ we Wrześniu r. b.

Cena każdego z tych tomów wynosi

W Warszawie kop. 50, z przesyłką pocztą kop. 60.

Tom pierwszy prenumerującym pismo „Bluszcza“ od początku roku bieżącego dostarczany jest **bezpłatnie**.

TREŚĆ. Jan Zacharjasiewicz, przez Tadeusza Ujejskiego. — Któs, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Król Agis, dramat, (dalszy ciąg), przez Juliusza Słowackiego. — Geraldina Calverley, (dalszy ciąg), przez M. I. — Wystawa etnograficzna; przez Dr Bronisława Rejchmana. — **Kronika działalności kobiecej.**

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 22 Февраля 1884 года.